

# 168. Mieszanka teatralna

## Dzwonek alarmowy



**T**RZEBA, się, niezwykle pewnie czuć, aby „na nie nie bacząc“, zaleźć krytykom aż tak głęboko za skórę, jak zrobił to Jerzy Jurandot w swojej nowej komedii „Trzeci dzwonek“, wystawionej ostatnio w warszawskim Teatrze Kameralnym. Dwa ciete określenia — „zabie oczy“, „szakale“ i kilkanaście słów, które porozstrzygały po latach co „znaczniejszych“ stołecznym recenzentów na czele z nie wymienionym wprawdzie, ale bez trudu rozpoznanym heroldem „groźnej“ krytyki — Janem Lottem. Jurandot wie jakby, że mimo swych złośliwości, trudno będzie „szakalom“ odplacić mu pięknym za nadobne. Nie myli się. Dysponując świetnie opanowanym warszatem dramaturga, potrafi doskonale zawiązać akcję i poprowadzić ją według wszelkich dramaturgicznych wymogów, potrafi stworzyć dialog o dużej kulturze. Tematem „Trzeciego dzwonka“ jest teatr, teatr od kulis — z gabinetem dyrektora, z reżyserem i aktorami, z ich pracą nad sztuką od pierwszych prób do premiery, z atmosferą protekcji, pochlebstwa, z osobistymi interesami, z miłodeją i miłostkami. A główna sprawa? O wszystkim w tym teatrze decydują kochanki. Reżyser angażuje niewiele umiającego kociaka, młody scenograf kocha się w podstarzałej aktorce, którą z czasem porzuci, też dla kociaka, w związku z cym porzucona przeżyje dramat zamkniętego serca. (Gorczyńska na zajęciu), z kolei kociaka „przywłaszczony“ sam autor i dla niego obieca napisać rolę w następnej sztuce... Trudno jednak wyżyć się wrażenia, że ów obraz świata teatru jest tu bardzo, bardzo tradycyjny, utwierdzający w tradycyjnie fałszywym wyobrażeniu, że w tym świecie aktorów i aktorek to tylko miłode i łózko. Wcale nie nowy i wcale nie świeży. Niemniej — zabawa dobra. Teatr dał sztuce swe najlepsza chyba sily; Marian Wyrzykowski, Maria Gorczyńska, Aleksander Zabożyński... Niemniej „ale“ pozostaje „ale“.

**G**DYBY czytelnikowi nie należała się krótka choćby informacja wstępna dotycząca samego utworu, jedynego w swoim rodzaju w światowym teatrze, można byłoby mówić wyłącznie o jego powojennych i nie dzielach i jednej tylko krenacji, która przetrwała już do historii polskiego aktorstwa. Wystawiony przed przeszło dziesięciu laty w Łódzkiej Komendzie Wojaka Polickiego w scenie-

Uwiedzione  
dziewiectwo

zacji nieodżałowanej Schillera stał się sensacją teatralną, a jednocześnie w niektórych środowiskach uznany został za skandal obyczajowy. Chodzi o „Celestynę” Rojasa, zjawisko niepospolite w piętnastowiecznym (1499) teatrze hiszpańskim, wyrosłe na wiele dziesiątków lat przed jego „złotym wiekiem”. Utwór jest jeszcze jakby owiany ponurą grozą średniowiecza, przedstawia tytułową Celestynę, ohydny stręczycielkę w zakazanej miłości, uwodzicielkę dziewic, „ce-rowaczkę cnót dziewiczych” jako postać diaboliczną, spowinowaconą z szatanem, niemniej odbija się już w tym utworze niespokojny, swawolny duch zbliżającego się renesansu. I oto ów temat drażliwy, z „drażliwymi” scenami rozgrywanymi się w domu publicznym: młody Kalixt chce zdobyć niewinną Mallbę i korzysta z pomocy rajfurzycy Celestyny, właścicielki kilku sprzedajnych dziewcząt. Lecz nie temat jest tu główną wartością. Aż dziw bierze, ile w tej arcy-starej sztuce zawarł autor mądrości o życiu, świecie, ileż trafnych uwag wypowiedział o mężczyznach, kobietach. I wreszcie jak głęboko sięgnął dna ludzkiej nędzy, jak głęboko potrafił przedstawić skłębione namietności życia, nędzę i ukochanie życia, których wcieleniem jest tu ohydny a budząca litość Celestyna. Celestyna jest Jadwiga Chojnacka. Była w pierwszym łódzkim przedstawieniu i jest w obecnym — w warszawskim Teatrze Klasycznym. Sztuka jakby dla niej jednej tylko istniała. Wszyscy inni są bladym tłem wobec tej kreacji na miarę światową.



## Straszna zabawa



JESZCZE jedna polska sztuka współczesna. Nazywa się „Straszna zabawa”. Fama głosi, że niejaki Marcin Blerzewicz, figurujący na afiszach jako autor — to zwykła „biaga”, że pod tym pseudonimem ukrywają się dwie bliżej nie znane w literaturze żony dwóch znanych w tejże literaturze pisarzy krakowskich. No cóż, i łonom wolno pisać. Napisały więc sztukę. I to z nie byle jakim pomysłem. W prostej linii wywodzącym się od wybitnego francuskiego dramaturga Cocteau, z jego „Straszliwych rodziców”, „Straszliwych dzieci” a nawet z wystawionej niedawno u nas „Maszyny do pisania”, gdzie znużona młodzież bawi się „dla rozrywki” w przestępców. Tu podobnie. Grupa młodzieży — aktor, dziennikarz, muzyk, studentki — bawi się w morderstwo. Improwizuje morderstwo, później przeprowadza dochodzenie i sama się oskarża. Nie wystarczy im zwykła zabawa. A więc sztuka o młodzieży — że cyniczna, że zblazowana, że rozpita, zepsuta, i że moralna zgnilizna... Proszę państwa, pozwolę sobie jednak ostrzec: nie dajmy się nabrać na wszystkie zawarte tu gromkie oskarżenia, choć dewotkom i „moralnym odnowicielom” będą one „w to graj”. Autor, przepraszam — autorki(7), nie mają nic, ale to dosłownie nie na serio do powiedzenia o młodzieży. Poza komunałami krążącymi w środowiskach bogobojnych staruszków. Etykietowe, papierowe postacie m. in. znużonych egzystencjalistycznych dziewcząt wyciągniętych jakby wprost z krakowskich piwnic i kilkanaście komunałów składają się na tę sztukę. Poza tym, żeby było zgodnie z modą wszystko robione jest jak najbardziej na ponuro i z nieodłącznymi pleprnymi słówkami. I wreszcie z gromkim — „świat jest nie do zniesienia!” Kilkakrotnie, mocno; bo to modne. Zgodnie z receptą na rzekomo nowocześnie literaturę: byle jak najmocniej krzycheć, że nudno, straszno, i do zniesienia, a powodzenie murówne. Krzyczą więc i modne autor „Strasznej zabawy”. A warszawa Teatr Powszechny krzyk ten wzięty jak najbardziej na serio. Nie dajmy się nabierać na taką nowoczesność

JEREMI CZULIŃSKI